

III Obóz koncentracyjny Aslau

1. Wstęp

Obóz koncentracyjny Aslau był filią obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, a przeznaczeniem jego było zatrudnienie więźniów w Zakładach Lotniczych Focke - Wulf (Firma Weserflug z Bremen).

Zakłady Lotnicze FW znajdowały się na północ od autostrady Breslau-Berlin (Wrocław - Berlin), obok miejscowości Aslau (Osła) w powiecie Heinau (obecnie Chojnów).

Wobec tego, że Zakłady prowadziły wyłącznie montaż końcowy samolotów FW-190, obok zakładów znajdowało się lotnisko zakładowe dla prowadzenia lotów próbnych.

2. Zakłady Focke - Wulf

2.1. Opis zakładu

Samoloty FW-190 były to myśliwce najnowocześniejszej generacji, osiągające szybkość od 600 - 900km/h, wyposażone w 4 karabiny maszynowe i dwa działka szybkostrzelne. Oprócz tego mogły zabierać jedną bombę 100 kg.

Źródłem napędu był silnik 14 cylindrowy typu gwiazdzistego (dwie gwiazdy po 7 cylindrów). Na wale napędowym znajdowało się śmigło trójłopatowe, przy czym łopaty można było obracać automatycznie podczas lotu, zwiększając lub zmniejszając kąt natarcia.

Skrzydła i kadłub wykonane były z blach duraluminiowych, na szwach łączonych za pomocą nitowania. Wszystkie zespoły i podzespoły dostarczane były z innych zakładów. W Aslau odbywał się montaż końcowy, przeprowadzany na taśmie produkcyjnej oraz montaż niektórych podzespołów. Samolot przechodził 12 montażowych taktów, gdzie na każdym takcie przeprowadzano operacje niekolidujące ze sobą. Na 12-tym takcie odbywała się kontrola techniczna, po czym samolot wyciągany był na lotnisko, w celu dokonania lotów próbnych.

Zakład posiadał trzy hale produkcyjne oraz pomieszczenia usługowe jak: magazyny, stołówka, pomieszczenia mieszkalne itp.

Hala nr 1 znajdowała się najbliżej lotniska i służyła do przeprowadzania napraw i usuwania usterek jakie wynikały podczas lotów próbnych.

Hala nr 2 była prototypownią, w której przeprowadzano różne udoskonalenia.

Hala nr 3 była największą halą, w której przeprowadzano taśmowy montaż samolotów.

Początkowo, kiedy hala nr 3 nie była jeszcze gotowa, montaż samolotów odbywał się w hali nr 2, oczywiście na małą skalę.

Montaż w hali nr 3 rozpoczął się we wrześniu 1944 r. Ciężkie warunki pracy były kiedy nastąpiły mrozy i chłody, a hala jeszcze nie była ogrzewana. My ubrani tylko w pasiaki odczuwaliśmy to wyjątkowo dotkliwie.

Przebiegnięcie pęcherza powodowało nietrzymanie moczu, wynikiem czego były zasilane samoloty, co z punktu widzenia jakości wyrobu było niedopuszczalne (korozja, zwarcia elektryczne itp.)

Reakcja dyrekcji zakładu spowodowała przybycie z Gross-Rosen komisji, która zdecydowała wydanie nam bauchband (pasów flanelowych na korpus) i kamizelek. To sytuację poprawiło. Oprócz tego uruchomiono centralne ogrzewanie, chociaż wydajność jego była mała i w hali było zawsze chłodno, nie mniej sytuacja była lepsza niż na początku.

2.2 Załoga zakładu

Dyrektorem naczelnym Zakładu był inżynier Kinn (nie pamiętam imienia ani pisowni). Był to człowiek o wysokiej kulturze osobistej. Dbał o pracowników, czy byli to pracownicy cywilni Niemcy (cywilnych pracowników cudzoziemców nie było), czy więźniowie obozu koncentracyjnego.

Parę razy odwiedzał obóz sprawdzając w jakich warunkach żyjemy. Na pewno obóz ma wiele mu do zawdzięczenia.

Zastępca dyrektora do spraw produkcji (Betriebsingenieur, nazwiska nie pamiętam) był wyjątkowy kretyn. Jak pokazał się na produkcji, rzadko zdarzało się, żeby nie kopnął któregoś więźnia. Był nielubiany nie tylko przez więźniów, ale przez cywilnych pracowników Niemców. Kopanie więźniów przez człowieka na tak wysokim stanowisku uwłaszczało jego godności.

Na każdej operacji montażowej był Niemiec, monter mający do pomocy więźniów monterów. Więźniowie wykonywali równorzędne prace, co Niemcy, lecz za jakość pracy odpowiadał monter Niemiec.

Niemcy monterzy, byli to normalni ludzie, z którymi można było porozmawiać i którzy rozumieli nasze położenie. Nie można im było z nami rozmawiać na inne tematy niż zawodowe. Oni też bali się, bo jakaś niesubordynacja z ich strony mogła skończyć się wysłaniem na front.

Może największym ponurakiem był mój bezpośredni majster Erich (nazwiska nie pamiętam), który miał wyjątkowo zmienny charakter, raz mnie kopnął, innym razem pochwalił, ale miał tę zaletę, że jeżeli był przestój, nie było pracy, nigdy mnie nie dał do innej pracy. Cenił mnie za fachowość (gdyż przed aresztowaniem pracowałem trzy lata przy remontach maszyn - obrabiarek). Wołał na mnie Bubi i lubił jak wszystkie sprawy załatwiałem biegiem (np. przynieść narzędzia z wypożyczalni lub przynieść jakieś inne elementy). Czasami między nami wynikały śmieszne sytuacje. Pamiętam kiedyś poprosiłem go żeby wytłumaczył, jak mam to zrobić. Do zakładu przychodziły elementy i zespoły w większości nie pasujące w danej operacji, co powodowało wykonanie więcej czynności, w celu ich dopasowania. Na taśmie stwarzało to duży problem. Jeżeli nie zdążyło się tego wykonać na swojej operacji i samolot przechodził na następną, gdzie wchodziłi nowi monterzy, co powodowało tłok. Nie raz majster skrzyczał na mnie, że źle pracuję i nie nadążam. Dlatego chciałem go

zapoznać z problemami i zapytałem jak to robić. Majster sam się wziął do roboty, tylko krzyczał, żeby mu podawać narzędzia:

- Borhmaschine! (wiertarka)
- Bohrer! (wiertło)
- Sehraubenbohrer! (gwintownik)

Tak niefortunnie zapędził się, że urwał gwintownik w korpusie samolotu, co stworzyło poważną sytuację. Ze złości cisnął wiertarkę o ziemię, aż pękła. Kopnął skrzynkę z narzędziami i poszedł. Oto mi chodziło, żeby napotkał trudności. Teraz ja powoli wziąłem się do roboty. Z trudem ale udało mi się wykręcić urwany gwintownik, resztę dopasowałem, na zakończenie wszystko zmontowałem, jak było potrzeba i usiadłem sobie odpocząć, gdyż taśma długo się nie ruszała. Po jakimś czasie przyszedł majster. Przeszedł obok, spojrzął zezem czy praca wykonana i poszedł dalej. Znowu obszedł halę na około i znowu podszedł obejrzał jak zrobiłem, zanucił coś pod nosem i poszedł dalej. Znowu obszedł halę na około i znowu podszedł lekko uśmiechnięty. Zapytał:

- Wie, fertig? (jak, gotowe)
- Ja, majster - odpowiedziałem,
- Gut, Bubi schlosser - poklepał mnie po ramieniu.

Od tego zdarzenia nie objeżdżał mnie za to, że jakiejś roboty nie wykonałem w czasie.

Pamiętam inne zdarzenie z majstrem. Miałem swój warsztat z imadłem, szafkę i szufladę, w których trzymałem narzędzia. Były one nie zamknięte, bo narzędzi nikt nie kradł. Ja dodatkowo po cichu zajmowałem się grawerką, przez co zarabiałem czasem kawałek chleba od Niemców majstrów. Koledzy obozowi też robili różne fuchy jak zapalniczki, cygarniczki, pudełka itp., które też czasem dawali mi do wygrawerowania. Oczywiście od kolegów nic nie brałem. Nie miałem gdzie tego wszystkiego chować. Potrzebna mi była kłódka, żeby zamknąć szufladę. Postanowiłem zrobić. Obmyśliłem jak i przygotowałem sobie potrzebne materiały. W czasie większego przestoju na taśmie, poprosiłem majstra, żeby puścił mnie na pół godziny, bo chciałem zrobić kłódkę, gdyż zabierają mi z szuflady narzędzia. Majster spojrzął na mnie, popukał się w głowę i powiedział:

- Co ty głupka ze mnie robisz - w pół godziny chcesz kłódkę zrobić?
- Zrobię, majster - odpowiedziałem
- To jest nie możliwe - powiedział - ale dobrze. Piszemy godzinę - napisał kredą na skrzydle samolotu - i zobaczymy, co zrobisz.

Trochę nie zmieściłem się w czasie, bo zajęło mi to 37 minut, ale zamknąłem i zameldowałem, że szuflada jest zamknięta.

Majster przyszedł, oglądał, wprost nie wierzył, że to zrobiłem, chociaż spoglądał z taśmy jak ja robiłem przy warsztacie.

- A klucz? - zapytał

– Jest i klucz - odpowiedziałem.

Był zdziwiony. Pokazywał innym Niemcom i pytał ile czasu zajęłoby mu zrobienie kłódki. Podawali sporo godzin.

– A Bubi zrobił w pół godziny - krzyczał

– Dobry jesteś – powiedział

Takie sytuacje powodowały, że stawał się mniej agresywny wobec mnie.

2.3. Praca w zakładzie

Praca w zakładzie była dość ciężka, szczególnie na taśmie, gdzie trzeba było zmieścić się w czasie pomimo to, o wiele lepsza niż praca w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen, skąd przybyłem.

Pracowaliśmy po 12,5 godziny dziennie tak jak majstrowie Niemcy.

Zadania produkcyjne zakładu nie były miesięczne, a ustalane według zabezpieczenia materiałowego, czyli możliwości wykonawczych. Takie zadanie nazwano partią produkcyjną. Średnio obejmowała czas od 2 - 6 tygodni.

Jeżeli wynikały trudności i nie można było zmieścić się w czasie, wydłużano czas roboczy do 20 godzin na dobę i trwało to od 4 do 8 dni.

Byliśmy dosłownie wykończeni z niewyspania, gdyż pobudka była o 4 rano, a powrót o 2.30 w nocy. Spania było około 1,5 godziny na dobę. Taki czas pracy miało tylko komando endmontage, pracujące na taśmie. Innych komand ten porządek pracy nie dotyczył.

Wytwarzały się dziwne sytuacje. Ludzie przewracali się idąc do lub podczas pracy. Osobiście nie mogłem wytrzymać, jak włączyłem wiertarkę. Dźwięk wiertarki powodował, że głowa mi opadała i parę razy o mało co nie spowodowałem wypadku (rozbicie głowy - wiertarką).

Za to po zakończeniu partii otrzymywaliśmy trzy dni wolne od pracy i przymusowe spanie. Z czymś podobnym nie spotkałem się w żadnym innym obozie. Początkowo blokowi i kapowie zaczęli nas wypędzać na apele i angażować do różnych prac. Doszło to się do zakładu i zakład zdecydowanie interweniował. Chodziło im o sprawnych i wyspanych pracowników.

Inni koledzy nam tej laby zazdrościli, bo nie zdawali sobie sprawy w jak ciężki sposób to zyskaliśmy.

2.4. Stosunki ogólnoludzkie w zakładzie

Praca ludzi łączy, niezależnie jakiej są narodowości i przekonania. Dlatego dobre kontakty między pracownikami Niemcami i nami czasami dawały nam korzyści, szczególnie w trudnych i ekstremalnych sytuacjach.

Pamiętam, kiedyś jeden z majstrów, były pilot (bez trzech palców u ręki - podobno odznaczony krzyżem rycerskim), wyjątkowo uczciwy człowiek, poprosił nas, żebyśmy pomogli mu przepchnąć samolot do przodu. Porządnym majstrom chętnie pomagaliśmy, dlatego raźnie skoczyliśmy do pomocy. Pomimo naszego wysiłku, maszyna nie drgnęła. Zablockowały się hamulce. Pooglądaliśmy

dokładnie razem z majstrem, zdawało się, że wszystko w porządku. Spróbowaliśmy jeszcze raz. Jak poprzednio - nie drgnęła. Akurat przechodził dyrektor do spraw produkcji. Sądząc, że my z lenistwa nie chcemy maszyny popchnąć, podbiegł i zaczął kopać wszystkich więźniów. Jak to zobaczył majster, skoczył do niego z kułakami. Wynikła taka awantura jak nigdy. Wymyślali sobie od różnych. Gdy uspokoiło się, zaczęliśmy majstrowi tłumaczyć, że nie trzeba było robić takiej awantury. Do kopniaków my jesteśmy przyzwyczajeni, a tak to jeszcze majstra na front wyśle.

– Co? Na front. On pierwszy pójdzie a nie ja. Ja byłem trzy lata na froncie i zostałem inwalidą. Teraz na niego kolej. Ja poprosiłem was i wyście chętnie mi pomagali, a on kopał. To tak jakby mnie w tyłek kopnął - mówił podniesionym głosem majster.

Inna sytuacja była wyjątkowo krytyczna dla dwóch naszych kolegów więźniów. Wychodzące z taśmy samoloty transportowane były na lotnisko, celem przeprowadzenia lotów próbnych. Jeżeli wynikały usterki, to poprawiano je w hali nr 1 - na taśmę nie wracały. Wyjątkowo zdarzało się, że samolot na taśmę wrócił, jeżeli trzeba było wymienić podstawowy zespół, jak: skrzydła, korpus, ogon itp.

To miało miejsce w wyniku następującego incydentu. W samolocie pozostawiono ładunek do wyrzucania hauby¹ (osłony pilota) w razie katapultowania się. Koledzy o tym nie wiedzieli i zdziwili się tylko, że dźwignia do odpalania ładunku jest zaplombowana. Przez ciekawość zerwał któryś plombę. Nastąpił wybuch i hauba przeleciała nad samolotami przez pół hali, upadając pod nogi pracowników, którzy zakładali śmigło (jeden Niemiec i dwóch więźniów). Szczęście, że pod nogi, bo gdyby w nich - zginęli by na miejscu. Wylatując hauba była połączona antenką z ogonem samolotu, przez co wyrwała maszcik na ogonie, poważnie uszkadzając cały zespół ogona. Przeprowadzono dochodzenie, po którym z obozu przyszło dwóch esesmanów w celu zabrania kolegów, którzy spowodowali ten wypadek. Byliśmy święcie przekonani, że ich rozstrzelają. Sądziliśmy, że dodatkowo jeszcze paru zakładników.

Kiedy niemieccy majstrowie dowiedzieli się, że mają ich rozstrzelać, byli bardzo podekscytowani. Oglądali samolot, dyskutowali, sprowadzili dyrektora (podobno na interwencje dyrektora Kinna wstrzymali egzekucję), któremu zaproponowali, że to wszystko naprawią.

Rzeczywiście pracowali całą noc. Kiedy myśmy przyszli do pracy samolot stał jak nowy. Wszystko zostało posklejane, ponitowane i pomalowane, że nie było widać śladu usterek.

Kolegów wstrzymano z wysyłką na egzekucję, tylko wygolono krzyże na głowach i wymalowano na czerwono krzyże na plecach i przeznaczono do robót karnych w obozie – Strafkommando).

¹ Autor używa tutaj niepoprawnej nazwy hauba dla określenia osłony kabiny pilota (przyp. red.)

Podobno majstrowie tłumaczyli to nieuwagą tamtej ekipy, która przekazała samolot na taśmę wraz z ładunkiem. Każdy przez nieuwagę mógł tak zrobić.

Kiedy sprawa definitywnie wyjaśniła się, odetchnęliśmy z ulgą.

Sytuację krytyczną przeżyłem ja także. Za każdą operację wykonywaną na taśmie odpowiadał Niemiec majster i ich lista imienna była wieszana na samolocie. Nikt z nas nie zwracał uwagi co to za lista. Kiedy mój majster awansował na mistrza (kierownika taśmy) i nie pracował już na taśmie, wpisał na listę w miejsce swojego nazwiska mój numer obozowy. O tym ja nie wiedziałem.

Nowy majster, dość sympatyczny młody Tyrolczyk (mówił niewyraźnie - po góralsku), był pilotem wojskowym (chodził jeszcze w mundurze), który został oddelegowany na tyły. Nie patrzyłem jak robi - dobrze czy źle. Sądziłem, że jest on odpowiedzialnym za pracę, jak poprzednio był mój majster.

Tak było do czasu, kiedy kontrola techniczna, stwierdziła odpadanie klapy przykrywającej broń na skrzydle samolotu. Zrobiła się poważna awantura. Zeszli się dyrektorzy, kontrolerzy itp. Zawołali mnie i pokazują jak partacznie zostało to wykonane.

Rzeczywiście, to poważna usterka. Gdyby podczas lotu odpadła klapa, to uszkodziłaby usterzenie tylne, a tym samym samolot poleciał by na ziemię.

Obejrzałem to i odpowiedziałem:

- Ja tego nie robiłem, bo to jest po lewej stronie, a ja pracuję po prawej.

Ale prowadzą mnie i pokazują mój numer na liście. Zdrętwiałem z wrażenia. Patrę cała lista Niemców, tylko mój jeden numer. Sytuacja jest poważna. Powiedzieli definitywnie:

- Znajdź kto to robił. W przeciwnym wypadku, ty odpowiesz głową. Przybiegłem do kolegów, którzy robili po lewej stronie i pytam:

- Który z was to robił. Mnie za to chyba powiesz.

Oglądali i zaprzeczali, że żaden z nich tego nie robił. W końcu przypomnieli i biegają do mnie, wołając:

- To robił ten nowy majster. Na pewno on. Policzyliśmy maszyny. Nie było wątpliwości - na pewno on.

Pobiegłem do komisji, która jeszcze była przy samolocie i melduję, że to wykonywał ten nowy majster.

- A dlaczego ty nie sprawdziłeś?

- Ja nie mam prawa sprawdzać Niemca majstra. To on może mnie sprawdzać. -odpowiedziałem.

- Zawołać jego - powiedział dyrektor.

- Ale dzisiaj go nie ma - ktoś odpowiedział.

- To posłać na kwaterę, żeby przyszedł.

Czekaliśmy około pół godziny. Patrzę idzie. Zdrętwiałem. Co powie? Jeżeli zaprzeczy temu uwierzą nie mnie. Koniec ze mną.

Podszedł do samolotu. Dyrektor zapytał:

– Pan to robił?

Majster oglądał. Liczył, który to samolot z rządu. Ja stałem z zapartym tchem. Co powie? Nareszcie powiedział:

– Tak ja to robiłem.

Kamień z serca spadł mi. Myślałem, że z radości podskoczę do góry. Kiedy on to powiedział, odepchnęli mnie, krzycząc:

– Weiter! weiter! (dalej, dalej)

Dopiero wtedy rozpętała się istna burza. Pokazywali mi jak to tandetnie zrobił. Kiedy usiadłem przy taśmie i odprężyłem się po wszystkim, dziękowałem opatrznosci, że tak się stało, bo rzeczywiście odpowiedziałbym za to głową.

Pomimo ekstremalnych sytuacji, czasami grożących życiu, praca w zakładzie produkcyjnym dawała nam pewną równowagę psychiczną, gdyż praca ta była zgodna z naszymi kwalifikacjami zawodowymi (ślusarza, elektryka, tokarza, spawacza itp.)

Nie można porównać do pracy w kamieniołomach obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen, z którego żeśmy przyszli.

Nie mniej nie interesowało nas wykonywanie zadań. Robiliśmy tyle, ile wymuszano na nas. Nas interesowało, aby przetrwać. Przetrwać i wrócić do rodzinnego domu. Dlatego każde niepowodzenie Niemców, produkcyjne, czy militarne wyjątkowo nas cieszyło. Przybliżało koniec wojny, co było naszym największym marzeniem.

2.5. Ostatnie dni zakładu

Zbliżający się front wschodni wprowadził poważne zakłócenia w produkcji zakładu. Wynikało to z braku dostaw podzespołów i zespołów niezbędnych w montażu samolotów (jeżeli dobrze pamiętam silniki samolotowe przychodziły z Poznania).

W styczniu 1945 r. montowaliśmy niekompletne samoloty, a w końcu miesiąca produkcja kompletnie stanęła.

Majstrowie chodzili podenerwowani. Wyjeżdżali na 2-3 dni w celu ewakuowania rodziny.

Zaczęto demontować urządzenia i wywozić. Myśmy pracowali teraz przy demontażu. Nasze komando endmontage przychodziło co dzień, choć niewiele było do roboty.

Na początku lutego przyjeżdżały ekipy zakładające ładunki w celu wysadzenia zakładu (nie wiem czy zakład został wysadzony).

To był koniec zakładu. Ale nie to było naszym zmartwieniem. Naszym zmartwieniem było co zrobią z nami. W nocy było słycać pomruk zbliżającego się frontu. Czy zdążą nas wyzwolić? Czy będą ewakuować? Czy nas rozstrzelają?

Różne myśli chodziły nam po głowie. Obóz szykował się do ewakuacji. Ściągnięto do obozu wozy konne i załadowywano.

Nasze komando co dzień chodziło do zakładu, dlatego byliśmy oddaleni od obozu. Nie wiedzieliśmy co lepsze - w obozie, czy na zewnątrz.

9 lutego, jak co dzień przyszlismy do zakładu. Hala była pusta i nie było co robić. Zimno, mróz na dworze, ogrzewanie nie działa.

Po hali kręcili się tylko minerzy. Nawet majstrów prawie nie było. W hali stał tylko samolot (awionetka) dyrektora zakładu. W samolocie była walizka i jego rzeczy osobiste.

Najwięcej niepokoju budzili w nas minerzy. Żeby nie chcieli wysadzić budynku razem z nami.

Zaraz po południu rozpoczął się niesamowity rwetes: krzyki, nawoływania. Niemcy pospiesznie opuszczali halę.

Nas szybko zebrano i biegiem gnano do obozu. Wachmani byli przerażeni. Oglądaliśmy się na zakład. Wysadzą, czy nie. To był ostatni nasz pobyt w Zakładach Lotniczych Focke - Wulf in Aslau.

W obozie panowało także ogromne zamieszanie. Ładowano dobytek na wozy. Sprowadzono kuchnię polową. Ustalono kto ma ciągnąć, który wóz. Kazano nam zabierać i rolować koce i szykować się do wymarszu.

Potem odwołano alarm i kazano iść na bloki. Można było spać, ale w ubraniach. My ciągle nasłuchiwalismy, czy nie wysadzą zakładu. Nie - dlaczego?

O trzeciej nad ranem zerwano nas i w pośpiechu opuszczalismy obóz.

To był 10 luty 1945r.

Ciągnąć wozy skręcaliśmy na autostradę, przy której znajdował się nasz zakład.

Spoglądaliśmy w tym kierunku. Wyleci w powietrze, czy nie? - nurtowało nas pytanie. Panowała tam tylko ciemność i cisza, jedynie daleko na widnokręgu widać było łuny pożarów i pomruk dział zbliżającego się frontu.

A może nas wyzwolą?

3. Obóz koncentracyjny

3.1 Opis obozu.

Wobec tego że obóz przeznaczony był do zatrudniania więźniów w zakładach lotniczych FW, znajdował się on niedaleko od tych zakładów

Usytuowano go z południowej strony autostrady, niedaleko skrzyżowania drogi biegnącej z Thomas Waldau (Tomaszów Bolesławicki, Szczytnica) do miejscowości Aslau (Osła). Także tędy

przebiegała bocznicą kolejową zabezpieczająca dostawę materiałów do zakładów. Droga i bocznicą przebiegały pod autostradą (patrz szkic nr 2).

Obóz usytuowany został na polanie leśnej, młodego lasu sosnowego (skrawki lasu znajdowały się również na terenie obozu). Uformowany był w kształcie figury zbliżonej do kwadratu. Otoczony dwoma rzędami drutów kolczastych pod napięciem elektrycznym, tak jak we wszystkich obozach koncentracyjnych. Na rogach stały wieże wartownicze na wysokich słupach, co stwarzało dobrą widoczność dla wartowników, a także pozwalało na dobry ostrzał w razie potrzeby.

Niedaleko bramy zlokalizowany był barak komendanta obozu i sypialnia. Obok bramy znajdowała się wartownia, gdzie kontrolowane były komanda wychodzące i powracające.

Wewnątrz obozu znajdowały się trzy baraki mieszkalne dla więźniów (blok nr 1, nr 2, nr 3). Pomędzy tymi blokami znajdował się plac apelowy (Appellplatz). Bliżej bramy usytuowana była Schreibstube (kancelaria obozowa) i kuchnia, w której gotowano posiłki dla więźniów. Naprzeciw kuchni w baraku znajdował się rewir (szpital obozowy) i pomieszczenia rzemieślnicze (ślusarze, krawcy, szewcy itp.)

Pośrodku obozu był wykop ziemny, z którego poprzednio brano piach. Potem wykop uformowano, wyrównano, doprowadzono wodę i wykonano drewniane koryta, tworząc umywalnię dla więźniów.

Obóz kanalizacji nie posiadał, dlatego dalej od bloków wykonano toaletę (latrynę) bez muszli i bez wody, tylko z sedesami z desek.

Każdy blok podzielony był na trzy pomieszczenia. Po środku była jadalnia (bez stołów), a po bokach sypialnie (Schlafstube). W sypialniach były prycze trójkondygnacyjne. W każdym łóżku znajdował się siennik z nici papierowych oraz zagłówek. Siennik i zagłówek wypełnione były wiórkami drzewnymi. W każdym łóżku spało po dwóch więźniów, dlatego były dwa koce. Sypialnie nie były ogrzewane. W jadłodalni były półki na miski (fajansowe). Każdy miał miskę, w którą otrzymywał zupę. Po środku jadalni stał piec żeliwny (innego ogrzewania blok nie posiadał).

Rewir posiadał kilkanaście miejsc leżących, dla chorych więźniów. Zmarłych więźniów wywożono do krematorium obozu Gross-Rosen.

Żywność do kuchni dostarczana była przez zewnętrznych dostawców, przeważnie wozami konnymi. Wszelkie naprawy, jak: buty, odzież itp. wykonywane były przez własnych rzemieślników.

Porządek wewnątrzobozowy nadzorowany był przez administrację zewnętrzną SS i wewnętrzną – rekrutującą się z więźniów.

3.2 Administracja obozu

3.2.1 Administracja zewnętrzna

Jak w każdym innym obozie koncentracyjnym, administracja obozu była w rękach Waffen SS.

Komendantem obozu był Oberscharführer SS Wilhelm Fisch. Jak na esesmana był człowiekiem względnie kulturalnym. Nie mniej wydał parę wyroków śmierci na uciekinierach, jak i zakładnikach. Reprezentował wyjątkowy esesmański dryl. Często chodził ze szpicrutą w rękę, a do tego miał wybitnie donośny (wrzaskliwy) głos. Dlatego zjawienie się go na terenie obozu budziło zawsze niepokój. Zasługą jego jest, że dbał o porządek w obozie i wyżywienie, tak podczas pobytu w obozie, jak i parotygodniowej ewakuacji do Nordhausen.

Na pewno na to wszystko miał wpływ dyrektor zakładu inż. Kinn, który parokrotnie wraz z komendantem oglądał obóz wchodząc do poszczególnych bloków.

Rapportführerem był żołnierz z Luftwaffe - nazwiska ani stopnia nie pamiętam. Zwykły ponurak. Sądzę, że ani nam nie pomógł ani nie zaszkodził.

Kadra wartownicza składała się z żołnierzy Waffen SS, a także z żołnierzy Luftwaffe, którzy uzupełniali posterunki wartownicze na terenie zakładu. Największą kanalią był młody esesman pochodzenia holenderskiego zwany „Holendrem”. On wykonywał wszystkie wyroki śmierci i robił to zawsze z drwiącym uśmiechem.

Inni wachmani z Luftwaffe byli przeważnie ludźmi starszymi, nie przejawiali wyjątkowej agresji, a niektórzy byli zwykłymi uczciwymi ludźmi.

Pamiętam jedno zdarzenie jakie miałem z jednym wachmanem, człowiekiem starszym (około 60-tki), drobnym, w okularach.

Przed świętami Bożego Narodzenia majstrowie, a także niektórzy wachmani chcieli mieć jakąś pamiątkę. Dowiedzieli się, że ja potrafię grawerować. Przychodzili do mnie, aby wygrawerować na zapalniczce, papierośnicy lub zegarku monogram i „Weihnachten 1944 – Aslau”.

Niemcy - cywile dawali mi za to kawałek chleba, a wachmani - nie. Przyszedł do mnie ów wachman, o którym wyżej wspomniałem, i zapytał czy mógłbym mu wygrawerować coś na papierośnicy.

Zdziwiony byłem jego grzecznością.

Wobec tego postanowiłem mu jak najpiękniej wygrawerować. Kiedy oddałem był bardzo zadowolony - podziękował, co mnie zaskoczyło. Któregoś dnia, kiedy pracowaliśmy dość późno, zobaczył, że jestem sam przy samolocie, podszedł do mnie, stanął tyłem i powiedział:

– Wyjmij chleb z chlebaka (chlebak miał przypięty z tyłu pasa).

To mnie jeszcze bardziej zaskoczyło. Wachman dał chleb więźniowi. Wprost nieprawdopodobne.

Za parę dni dowódca dał mu polecenie, żeby wziął jednego więźnia, w celu przeniesienia z innej hali maszyny do pisania. Kapo dał jednego z naszych, żeby z nim poszedł, ale on odmówił. Powiedział, że pójdzie tylko ze mną (pokazał na mnie). Było ciemno, może bał się iść z kim innym.

Poszliśmy. Wracając ja niosłem maszynę, a on szedł obok mnie. Po wyjściu z widnej hali na zewnątrz było niesamowicie ciemno (panował wszędzie verdunkelt [zaciemnienie]), dosłownie nie widać było gdzie stąpamy. Nie zauważył on, że obok wykopany był rów przeciwlotniczy (stała nawet wiecha), do którego wpadł. Postawiłem na ziemi maszynę i skoczyłem, żeby mu pomóc. A on najpierw podaje mi karabin, a potem ręce, żeby go wyciągnąć. Wyciągnąłem. Tak potłukł się, że nie bardzo mógł stanąć na nogę. Jak iść? Maszyna, karabin i on kulejący. Mówi że będzie trzymać mnie pod rękę. Powiesiłem karabin na szyi, maszynę wziąłem przed siebie (była cholernie ciężka) i wtedy on wziął mnie pod rękę. Szliśmy. Młody byłem, naiwny, bo do karabinu dotykać się nie było mi wolno. Kiedy dochodziliśmy do hali, on też zorientował się i powiedział:

– Daj karabin. Ja poniosę.

Wchodziliśmy do hali oddzielnie. Ja szedłem pierwszy, a on za mną kuśtykał z karabinem, czyli zgodnie z obowiązującymi zasadami.

Młodzi wachmani byli bardziej agresywni niż starzy. Często zdarzało się, że dawali kopniaki więźniom, chociaż nie było powodu. Robili to raczej dla podniesienia swojej wyższości, a szczególnie robili to, jak któryś z przełożonych patrzył.

Jakiś czas byli nawet dwaj Polacy z Pomorza, których Niemcy siłą powołali do Luftwaffe. Jeden z nich lubił przyjść porozmawiać. Był trochę zbulwersowany całą tą służbą i też czekał końca wojny. Myślałem że był volksdeutschem, dlatego go wcielili do armii, ale twierdził, że nie. Postawili mu warunek, obóz koncentracyjny lub wojsko.

Drugi z Polaków był strzelcem pokładowym w samolocie, w ognie.

Kiedy zbliżał się front, to z lotniska zakładowego zrobili również lotnisko wojskowe. Jak brak było obsady, to brali jego na loty. Trzeci raz go zestrzelili, chociaż cała załoga zginęła, on w ognie samolotu ocalał, odnosząc przy tym poważne poparzenia.

Opowiadał ten pierwszy Polak, że jak poszedł go odwiedzić, to zobaczył całego zabandażowanego. Wolne było tylko jedno oko. Coś mówił. Kiedy nachylił się, żeby go usłyszeć, ten powiedział:

– Znów mało co nóg nie połamałem - i rozplakał się.

Przy poprzednim zestrzeleniu podobno połamał.

Takie to były różne losy Polaków - oni w wojsku, my w obozie.

3.2.2. Administracja wewnętrzna

Administrację wewnętrzną obozu² stanowili więźniowie, przeważnie z większym stażem więziennym, wysunięci na te stanowiska. Jaka była administracja, taki był los wszystkich więźniów. Mieli prawo bić, maltretować, zabijać. Za nic nie odpowiadali.

Jeżeli w administracji przeważali więźniowie z czerwonymi trójkątami (polityczni) - było lepiej, jeżeli z zielonymi (kryminaliści) - było gorzej.

W Aslau, sytuacja była lepsza, gdyż u władzy byli przeważnie czerwoni.

Najwyższe stanowisko w obozie, czyli Lagerälteste, pełnił Stanisław Wójcik - więzień polityczny, Polak. Był człowiekiem zrównoważonym. Chodził z kijem (atrybut władzy), jak każdy na stanowisku, lecz raczej mało go używał. Na pewno trudna była jego funkcja, aby godzić dobro więźniów z wymaganiami Waffen SS. Dbał o porządek w obozie i czystość. Miał duży wpływ na podwładnych.

Podległymi jego byli blokowi (Blockältester), którzy zarządzali poszczególnymi blokami.

Blokiem Nr 1 zarządzał Wiesław Porzeczkowski z Warszawy, więzień polityczny, Polak.

Blokiem Nr 2 zarządzał Borys Petrenko, więzień polityczny, Rosjanin, pochodził z południowej Rosji.

Blokiem Nr 3 zarządzał Władysław Skiba, więzień polityczny, Polak.

Każdy blokowy miał do dyspozycji dwóch sztubowych, którzy zarządzali Schlafstuba (sypialnią). W każdym bloku były dwie Schlafstuby.

Bezpośrednio Lagerälteste (potocznie mówiono lagrowy) podlegały:

Schreibstube (kancelaria obozowa), w której prowadzone były kartoteki poszczególnych więźniów. Pracowali tam: Stefan Buczek - więzień polityczny z Warszawy (przeżył obóz i wrócił do kraju, do Warszawy) (imienia nie pamiętam), Wilkoszewski - więzień polityczny. (Po wojnie spotkałem Rosjanina, który był z nami w obozie. Twierdził, że widział jak Wilkoszewski zginął w obozie koncentracyjnym Nordhausen podczas bombardowania obozu przez Amerykanów).

kuchnia obozowa zarządzana przez Niemca więźnia politycznego,

rewir (szpital obozowy), zarządzany przez lekarza (imienia nie pamiętam) dr Kopczyńskiego pochodzącego z Gdańska - Polaka.

Hauptkapo (główny obozowy kapo, któremu podlegali kapowie poszczególnych komand) był Czesław Marszałkiewicz z Poznania, więzień polityczny, Polak.

Z pośród blokowych, najwyższy poziom etyczny reprezentował Borys Petrenko. Otaczał się ludźmi kulturalnymi. Lubił dyskutować o poezji i sztuce. Więźniowie darzyli go dużym zaufaniem.

² Autor ma tu na myśli tzw. samorząd więźniarski.

Trudno to powiedzieć o blokowych Polakach. Porzeczkowski kija używał i to często. Budził postrach wśród więźniów swojego bloku. Jego często typową odpowiedzią było powiedzenie:

– Pociąg minie za linę, sukinsynie.

Zaufania wśród więźniów nie wypracował, chociaż o porządek na bloku dbał.

Skiba, spośród nich reprezentował najniższy poziom intelektualny. Był typowym ponurakiem i do tego aroganckim. Zaufania wśród więźniów też nie wypracował.

Najbardziej byli oni agresywni w początkowym okresie. Potem, kiedy do obozu zaczęli napływać ludzie reprezentujący; naukę, kulturę i sztukę (przeważnie z Krakowa i Warszawy), wnikali w otoczenie „rządzących” i wywierali dodatni wpływ na nich, przez co stawali się oni mniej agresywni i bardziej wyrozumiali, co było z korzyścią dla zwykłych więźniów.

Lekarze rewiru byli ludźmi zaangażowanymi w swojej pracy. Wyróżniali się wysokim poziomem etycznym i starali się wielu więźniom pomóc.

Szef rewiru (pochodzący z Gdańska) był nawet człowiekiem dość wesołym, lubił czasami żartować. Szczególnie wywoływał uśmiech, kiedy wieczorem chodził po blokach sprawdzając jak przebiega odswawianie, pytał z dziwnym akcentem:

– Som wszi.

Jego pomocnik, Kazimierz (nazwiska nie pamiętam), czasem był dziwny w swoim postępowaniu, ale o chorych dbał. Drugim pomocnikiem był Pilecki (imienia nie pamiętam).

O sztubowych trudno mi się wypowiadać. Reprezentowali różny poziom etyczny.

Na pierwszym bloku, jednym ze sztubowych był Serb. Nazywał się Sekula. Był młody dość sympatyczny. Drugim sztubowym był początkowo Rosjanin, którego nazywali Aleks. Był wyjątkową kreaturą. Połamał parę kijów na głowach więźniów. Bił czym popadło i za byle co. Szczególnie jak wydawał zupę, to tłukł chochlą po głowach. Połamał parę chochli za co porządnie go opieprzyli. Później wysłano go na transport do Bunzlau. Po nim sztubowym został Polak (chyba z Grajewa), nie bił, ale był dość arogancki i nie wzbudzał zaufania.

3.2.3. Komanda pracy. Kapo

W obozie koncentracyjnym każdy musiał niewolniczo pracować. Takie pojęcie, jak brak pracy, nie istniało.

Niesamowicie ważne było do jakiej pracy więzień został przydzielony. To decydowało o jego przetrwaniu lub śmierci. Jeżeli trafił do pracy ciężkiej, ponad jego siły (np. kamieniołomy) więcej nie wytrzymał jak parę tygodni. Jeżeli trafił do pracy lżejszej (np. w zakładzie pracy i w swoim zawodzie) mógł myśleć o przeżyciu.

Obóz koncentracyjny Aslau był przeznaczony do pracy w Zakładach Lotniczych, dlatego można było myśleć o przetrwaniu.

Nim rozpoczęto pracę w zakładach, pracowano w obozie, wykonując różne prace wykończeniowe przy budowie obozu, jak: doprowadzenie wody, budowa umywalni, prace ziemno-porządkowe, itp.

Dla wykonania nałożonych prac wyznaczono grupę więźniów, przy czym ilość w danej grupie zależała od wielkości postawionych zadań i od terminu ich wykonania.

Tak zorganizowana grupa robocza nazywała się komandem. Na czele komanda stał więzień nadzorca, w terminologii obozowej zwany kapo. Do jego obowiązków należało organizowanie pracy, a szczególnie popędzanie więźniów do jej wykonania.

Miał on nad komandem bezwzględna władzę. Za bicie, lub zabicie więźnia nie odpowiadał, a nawet uzyskiwał pochwały. Dlatego życie więźniów leżało w ich rękach.

W każdym obozie w administracji wewnętrznej istniał niezależny system nadzorców czyli kapo.

W Aslau głównym kapo, któremu podlegali wszyscy kapo, był Hauptkapo Czesław Marszałkiewicz z Poznania. W początkowym okresie był postrachem obozu. Kija nie oszczędzał. Jego wyjście na teren obozu wywoływało panikę wśród więźniów. Kogo dopadnie? W późniejszym okresie, kiedy komanda zaczęły chodzić do pracy w zakładach, tracił z nim kontakt, stąd popędzanie do pracy było małe. Drugim elementem, który wpłynął na jego osobowość było otoczenie ludzi kulturalnych, którzy mieli pozytywny wpływ na jego postępowanie. Jeśli dobrze pamiętam byli to: Gwóźdź z Chorzowa, Kiełczewski i Siesicki z Warszawy oraz jeszcze jeden z Leszna (dokładnie nie pamiętam - prawdopodobnie Tadeusz Grys).

Hauptkapo chodził w butach z cholewami tzw. oficerkach, a do czyszczenia tych butów wyznaczył mnie. Trochę poznał mnie bliżej, gdyż jemu też grawerowałem. Dla mnie to dodatkowa robota, ponieważ rano szybko zrywałem się z łóżka, żeby wyciągnąć prawidła z butów i postawić buty koło łóżka. Potem szybko ubrać się, zjeść śniadanie i do zakładu na cały dzień. Po pracy przed snaniem musiałem buty oczyścić i włożyć prawidła. Nie śmiałem Hauptcapo odmówić. Bałem się. Jego polecenia były jednoznaczne, dyscyplinujące, uniemożliwiające jakąkolwiek polemikę. Szczególnie używał takich słów:

– Chodź no tu!, ale prędko!, ale już! - z wyraźnym naciskiem na każde słowo.

Ja wywiązywałem się ze swych zadań dobrze, stąd może nawet mnie trochę polubił. Jedynym „komfortem” z tej znajomości było to, że żaden z kapo nie ośmielił się podnieść na mnie kija, aby nie narazić się Hauptcapo.

W początkowym okresie, kiedy komanda nie chodziły do pracy w zakładach, tworzone były komanda na pewien okres, w zależności od zadań. Były to komanda:

komando wasserleitung - do doprowadzenia wodociągu do obozu,

komando waschenraum - budowa umywalni w wykopie, gdzie woda doprowadzona była do koryt drewnianych,

komanda porządkowe ziemne - do przeprowadzenia niwelacji terenu, w celu uformowania Appellplatz,

oraz inne komanda mniejszej wagi.

Najcięższym komandem zewnętrznym było komando schießstand, czyli strzelnica dla próbnego przestrzeliwania wykonanych samolotów. Trzeba było usypać wały ziemne w kształcie litery „U” parometrowej wysokości. Piach należało wozić taczkami pod górę, aby podwyższać wykonane wały. Byliśmy za słabi, aby wykonywać taką pracę, dlatego zdarzało się, że któryś nie wytrzymał i poleciał z nasypu razem z taczka. Nie mniej praca została wykonana.

Czasami za jakies przewinienie obóz dostawał Strafarbeit lub Strafsport.

Strafarbeit polegał na tym, że na nosidłach wielkości drzwi nosiło się piach w inne, wyznaczone miejsce. Nosidła nosiło się na ramionach, dlatego ramiona bolały i puchły, a do tego wszystko trzeba było robić biegiem. Bezsens tej pracy podkreślał fakt, że inne komando przynoszony piach ładowało na swoje nosidła i z powrotem przynosiło.

Strafsport polegał na tym, że należało biegać naokoło obozu, skakać żabkę oraz czołgać się. To było wykańczające, gdyż przeważnie taki Strafsport trwał cały dzień. Kiedy zaczęto organizować komanda do pracy w zakładzie, powstały trwałe grupy robocze, których skład w zasadzie się nie zmieniał, gdyż zakład tego sobie nie życzył (chodziło o przyuczenie).

Powstały następujące komanda:

Komando „endmontage” - przeznaczone do montażu samolotów na taśmie. Było to najważniejsze komando. Początkowo wzięto tylko dziesięciu na próbę (ja w tej dziesiątce się znalazłem). Potem komando rozbudowało się do kilkudziesięciu więźniów (50 - 60 osób).

Kapo komanda był inżynier Wierzbicki z Warszawy. Był człowiekiem kulturalnym. Chodził jak przystało na więźnia funkcyjnego z kijem, lecz go nigdy nie używał. Zdarzyło się że tym kijem sam dostał od komendanta obozu. Byliśmy początkowo małą grupą i obiad (zupę) przynoszono z obozu do zakładu. Należał nam się litr zupy, a dawali tak skąpo, że gdyby nalewać pełną chochlę (1 litr), to dla wszystkich by nie wystarczyło. Chyba który z majstrów to powiedział bo przyszedł dyrektor i kazał nalewać pełną chochlę. Oczywiście dla 4 czy 5 zabrakło. Interweniował u komendanta obozu. Zupę donieśli, ale kiedy wracaliśmy wieczorem do obozu przy bramie stał komendant, zatrzymał nasze komando, wyrwał kapo kij i zrobił mu łomot za ten cały incydent. Nie mniej potem dostawaliśmy zupę w pełnych porcjach.

Komando „vorrichtung” - przeznaczone było do wykonywania różnych prac przygotowawczych. Wykonywano tam różne przyrządy, narzędzia i podzespoły. Byli tam spawacze, tokarze, szlifiery, ślusarze itp.

Było to największe komando. Nadzorowało go dwóch kapo Niemców - więźniów. Jeden nazywał się Maks Lange a drugi Erich Asman. Jeden i drugi byli niesamowitymi bandytami. Bili, katowali za byle co. Posiadali zielone winkle, czyli byli kryminalistami. Byli postrachem wszystkich. Wykonywali różne wyroki na więźniach. Nawet Hauptcapo się z nimi liczył, bo byli Niemcami.

Komando „verladung” - przeznaczone było do przeładunków towarów i części na rampie kolejowej.

Kapo komanda był Turczyński (lub Turkiewicz) znany pod pseudonimem Al Capone. Był wieloletnim więźniem i twardym w postępowaniu. Nie ustępował nawet Maksowi i Erichowi. Pamiętam taki incydent, jak Erich zabrał jednemu więźniowi sweter (gdzieś przez niego zdobyty). Więzień był z komanda Al Capone. Jak to zobaczył Al Capone, wyrwał Erichowi sweter, objechał go słownie i do tego pogroził kułakiem pod nosem.

Miał głowę do interesów, gdyż prowadząc różne przeładunki wiele potrzebnych rzeczy zdobył dla obozu. Więźniowie pracujący w jego komandzie nie narzekali.

Tak z grubsza wyglądała praca w obozie, chociaż każdy dzień przynosił nieprzewidziane incydenty, decydujące o życiu i śmierci.

3.3 Obozowe życie

3.3.1 Organizacja dnia

Pobudka o 4.00. Sygnałem do wstania były wrzaski sztabowych - Aufstehen! Jeśli ktoś nie przebudził się i szybko nie wyskoczył z łóżka, dostawał parę kijów na przebudzenie.

Potem następowało ubieranie się i sianie łóżek (prycz). Sianie było wyrafinowanym rytuałem. Koc musiał idealnie pokrywać pryczę i równiuteńko leżeć. Dlatego do prasowania prycz używano się blatów stołków. Za złe posłanie łóżka winowajca otrzymywał pięć kijów.

Po posłaniu łóżek pobierało się miski i biegło się w kolejkę do otrzymania zupy, którą przeważnie na dworze wydawał sztabowy. Trzeba było szybko zjadać, umyć miskę i biec na zbiórkę do apelu.

Apele były jedną z bardziej uciążliwych rzeczy w obozie. Obojętnie jaka była pogoda, należało stać w szeregach i czekać na przybycie Rapportführera, który odbierał meldunki od Lagerälteste i blokowych, a następnie sam przeliczał. Kiedy zbliżał się Rapportführer, Lagerälteste dawał komendę jak w wojsku:

- Das ganze stillstand (baczność)
- Mützen ab (zdjęcie czapek i silne uderzenie czapką o bok nogawki)
- Augen Geradeaus (na wprost patrz).

Następnie meldował stan obozu.

Rapportführer przechodził przed szeregami poszczególnych bloków, liczył i sprawdzał. Jeżeli coś nie pasowało, zaczynało się od początku. Czasami trwało to godzinę. Po apelu komanda wyruszały do pracy.

W zakładzie praca rozpoczynała się o 6.00. Komanda obozowe szły do poszczególnych zajęć równocześnie. Powrót komand roboczych z zakładu odbywał się około 19.00, o ile nie nastąpiło przedłużenie czasu pracy.

W bramie komendant warty liczył powracające komanda. Po wkroczeniu na teren obozu więźniowie podążali do swoich bloków. Czasami blokowi wpadali na pomysł, aby zagnać wracających do mycia się w korytach na dworze. Jeżeli był mróz, to woda w korytach była razem z kawałkami lodu. Należało się rozebrać do połowy i myć ciało, nie tylko ręce i twarz. Wpuszczano do bloków tylko tych, co mieli mokre plecy. Ręczników żadnych nie było. Każdy wycierał się czym mógł, szczękając zębami i drżąc z zimna. Tak na swoim bloku robił Porzeczkowski. Potem mu zakazano, gdyż dużo więźniów rozchorowało się i nie mogło chodzić do pracy w zakładach. Zakład interweniował.

Po myciu wydawana była kolacja. Po spożyciu kolacji należało iść na „odwszawianie”. Odwszawianie polegało na tym, że dwóch wyznaczonych więźniów z lampą w ręku przeglądało koszulę, kalesony i ubranie, następnie zapisywali numer więźnia, który się odwszawił. Wszyscy więźniowie bloku musieli stać w kolejce do odwszawienia. Za ominięcie odwszawiania była kara chłosty.

Pewnego razu ja też podpadłem tej karze. Dostałem coś do grawerowania, dlatego usiadłem wysoko na pryczy pod lampą i zająłem się wykonywaniem grawerki. Sądziłem, że jeszcze zdążę lub ewentualnie przerwę pracę, aby nie podpaść karze. Jakoś tak zająłem się tą czynnością, że przegapiłem zakończenie odwszawiania. Na moje nieszczęście w tym dniu odwszawianiem zainteresował się blokowy. Wziął listę od odwszawiaczy i sprawdził.

– Kto się nie odwszawił dostanie trzy kije - powiedział

Było nas czterech. Kiedy spojrzał na mnie (poznał, bo mu też grawerowałem) zapytał:

– I ty podpadłeś? co robiłeś?

– Grawerowałem, panie blokowy.

– Trudno, słowa nie zmienię. Dostaniecie wszyscy po trzy kije.

Dostałem. Tyłek mnie bolał, ale nie miałem pretensji do blokowego, że mnie nie wyróżnił spośród innych, zawieszając karę.

Po odwszawieniu należało szybko ułożyć ubranie w kostkę (30 x 30 cm), tak żeby był widoczny numer więźnia. Za złe ułożenie ubrania była też kara chłosty.

Po ułożeniu ubrań szybko należało udać się do swojej pryczy na spanie. Cisza nocna następowała o 22.00. Po tej godzinie nie wolno było chodzić ani rozmawiać. Kto z czym nie zdążył podlegał także karze chłosty.

Czy można było mówić pacierz przed snaniem. Nie było zabronione, ale ze względu na pośpiech, tłok, nie było możliwości żeby pójść w zaciszne miejsce i w spokoju pomodlić się. Można było zmówić pacierz po położeniu się do łóżka. Ja też starałem się zmówić „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”, ale rzadko kiedy udało się w całości zmówić. Po prostu w połowie zasypiałem ze zmęczenia.

W sytuacjach ekstremalnych dla życia ludzie modlą się i to nawet tacy, którzy przedtem mieli mały kontakt z religią. Szukają pomocy. Skąd? Jedyłą nadzieją jest wtedy wiara w pomoc boską.

3.3.2 Higiena obozu

Obóz nie posiadał kanalizacji, ciepłej wody, ani zbiorczej łaźni. Poszczególne bloki także nie posiadały wewnętrznych łazienek ani toalet.

Była w wykopie umywalnia z ustawionymi drewnianymi korytami, do których nalewano zimną wodę, ale w okresie zimy, koryta zamarzały, a wykop zasypywał śnieg. Ubikacja wykonana była w oddzielnym baraczkach, bez kanalizacji, zawierała jedynie doły kloaczne i sedesy z desek.

Nie mniej czystość i porządek był utrzymany, gdyż jeden więzień był wyznaczony na stałe (latryniarz) do pilnowania porządku, sprzątanania i mycia.

Pomimo tych trudności dbano o higienę obozu. Raz w tygodniu, było strzyżenie, golenie sztrajf (Streifen) tzn. pasów szerokości 3 cm wzdłuż głowy, gdyż każdy więzień obozu koncentracyjnego musiał posiadać taki pas, a następnie mycie.

W jadalni stawiano pośrodku wannę, przynoszono z kuchni gorącą wodę i nalewano do wanny. Następowo kolejne mycie się po 6-ciu więźniów na raz (po trzech z każdej strony wanny). Dawano trochę proszku lub kawałek mydła, należało myć się w całości. Na zakończenie wielu więźniów robiło w tej wodzie pranie.

Wyjątkowo dbano, aby obóz nie był zawoszony. Co dzień wieczorem odwszawiacze sprawdzali każdego więźnia, czy nie ma wszy. Za złapanie wszy była nawet nagroda w postaci bochenka chleba, ale jak pamiętam, chyba żadnemu z odwszawiaczy nie udało się zdobyć tej nagrody.

3.3.3 Wyżywienie

Wyżywienie w obozach koncentracyjnych było wyjątkowo nędzne, niskokaloryczne. Jeżeli wykonywało się ciężkie prace - nie pokrywało dziennego zapotrzebowania, stąd duża śmiertelność wśród więźniów. Na przykład w kamieniołomach w Gross-Rosen więzień wytrzymywał parę tygodni.

Wyżywienie w obozach było różne, zależne od tego, do jakiej funkcji przeznaczony był obóz.

Jeżeli więźniowie przeznaczeni byli do pracy w zakładach przemysłowych, gdzie wymagało się dużej fachowości, doświadczenia zawodowego, zakłady zabiegały o lepsze wyżywienie.

Wyżywienie w Aslau było na średnim poziomie, nie mniej było to na granicy fizycznego wytrzymania. Stwarzało to małą odporność organizmu na choroby, infekcje itp.

Rano dostawaliśmy pół litra zupy i kromkę chleba. Była to „mehlsuppe”, czyli do wody sypano trochę mąki i zagotowano.

Na obiad dostawaliśmy litr zupy. Były to przeważnie zupy jarzynowe z małą ilością ziemniaków (oczywiście krojone, ale nie obierane). W zależności od pory roku były to różne warzywa. Buraki pastewne lub liście buraczane, brukiew, kalarepa, szpinak.

Najdłużej jadalіśmy chyba kalarepę, ale największe spustoszenie wśród więźniów zrobił szpinak. Wywołał niesamowitą dyzenterię. Wszystko było zabrudzone. Spodnie zafajdane i śmierdzące. Jedząc ten cholerny szpinak, ludzie załatwiali się przy jedzeniu, gdyż nie mogli wytrzymać. Niektórzy dostawali torsji i biegunki równocześnie.

W Niemczech, w tym czasie brak było soli, dlatego w obozach gotowano wszystko bez soli. Brak soli nie tylko pogarszał smak potraw, ale prawdopodobnie obniżał kwasowość w żołądku, co powodowało trudności w trawieniu. Jeżeli do tego trafiały się produkty wybitnie zasadowe, jak np. szpinak, obniżało to jeszcze proces trawienia, a tym samym powodowało biegunki i dyzenterię.

Przyrządzanie tych zup pozostawiało wiele do życzenia. Szpinak wraz z korzeniami był wrzucany z wozu prosto do kotłów. Zupa miała wygląd zielonej wody, w której pływały korzenie. Do dziś mam ogromny wstręt do szpinaku.

Podczas tej dyzenterii zmarło trzech moich kolegów z Łap: Edward Łapiński, Werpachowski, Staszewski.

Na tę sytuację zareagował zakład. Zafajdani pracownicy nie mogli pracować przy montażu samolotów.

Zaczęto gotować „mehlsuppe” z ziemniakami. Odżyliśmy.

Na kolację dostawaliśmy pół litra zupy (przeważnie „mehlsuppe”) i pajdkę chleba (ok. 250 g) z kostką (ok. 20 g) margaryny i marmolady.

To było najbardziej podstawowe pożywienie. Chleb w obozie był na wagę złota.

Był i pożywieniem i walutą. Za chleb można było wymienić inne rzeczy.

Za grawerowanie Niemcom różnych pamiątek (jak papierośnice, zapalniczki itp.) dostawałem od nich chleb. To mnie ratowało przed głodem. Kiedy zarobiłem więcej, np. jeden bochenek, dzieliłem się z kolegami.

Z powodu niedożywienia i wielogodzinnej pracy (okresowo po 20 godzin na dobę) ludzie słabli. Niektórzy byli wychudzeni (dostawali ciemnej skóry) nazywali ich muzułmanami lub gamlami, inni puchli na twarzy, chorowali na tzw. flegmonę. Szczególnie słabość więźniów odbijała się na pracy w zakładzie.

Zakład był zainteresowany tym, aby nie było rotacji wśród więźniów ze względu na nabyte przez nich doświadczenie w pracy. Stałość zatrudnienia gwarantowało zachowanie jakości produkcji. W związku z tym nie mógł tolerować fatalnego odżywiania więźniów.

Przybyła komisja postanowiła, aby raz w tygodniu wydawać pół litra mlecznej zupy, co miało poprawić równowagę, białkową w organizmie.

Początkowo nie wierzyliśmy w tę decyzję. Ale kiedy w sobotę otrzymaliśmy mleczną zupę, zaniemówiliśmy z wrażenia. W obozie mleczna zupa!!! Wydarzenie na skale światową!!! W następnym tygodniu w piątek tematem dnia była mleczna zupa wydawana w sobotę. To rzeczywiście nas trochę podreperowało.

Ci co pracowali w zakładzie, czasami raz w miesiącu dostawali bon, za który mogli coś dostać w obozowym magazynie. Raz dostałem pół miski kiszzonej kapusty z marchewką, innym razem pół miski ślimaków konserwowych, kiedyś z kolei 10 papierosów.

Najlepiej było brać papierosy, bo niepokonani palacze wymieniali chleb na papierosy.

3.3.4 Ubiór więźnia

Na ubiór więźnia składało się:

- koszula
- kalesony
- pasiak (marynarka, spodnie, czapka)
- füßling uszyte z materiału w kształcie skarpet
- drewniaki

Latem otrzymywaliśmy pasiaki z cienkiego drelichu. Kiedy zaczęły następować zimne dni (jesień), pasiaki te nie utrzymywały ciepła, dlatego wielu ludzi zaczęło chorować, co ujemnie zaczęło odbijać się na pracy w zakładzie.

Po interwencji zakładu, przybyła komisja z Gross-Rosen zadecydowała wydać cieplejsze ubrania. Wobec tego otrzymaliśmy grubsze pasiaki, płaszcze pasiaste (bez podszewki), kamizelki oraz bauchbindy (pasy flanelowe na korpus). To zdecydowanie poprawiło sytuację cieplną. Nie mniej, kiedy nastąpiły mrozy, ubrania te nie zabezpieczały przed ubytkami ciepła i ludzie marzli, szczególnie na apelach.

Zima 1944/45 była ostra i śnieżna, dlatego każdy szukał żeby coś zdobyć dla ocieplenia ciała. Ci co pracowali w zakładzie mieli większe możliwości. Wkładali pod pasiak arkusze papieru, szmaty produkcyjne (do wycierania części montażowych, narzędzi i rąk), a nawet zaczęli szyć kamizelki z pasów filcu.

Do zakładu przychodziły części samolotowe takie jak skrzydła, korpusy itp. mocowane w drewnianym stelażu, którego płaszczyzny stykowe wyklejane były filcem, aby nie nastąpiło zadrapanie lakierowanych części. Po demontażu stelaż ten był zwracany do producenta. Zaczęto te pasy wrywać (szerokość pasa ok. 5cm) i szyć z nich kamizelki ocieplające.

Było to bardzo dobre, aż do czasu kiedy powracające komanda zatrzymano w bramie obozu i przeprowadzono osobistą rewizję. Ci co mieli papiery i szmaty dostali tylko w pysk i musieli to

wyrzucić, gorzej natomiast było z tymi, którzy mieli filc. Musieli za karę skakać żabką parę godzin wokół obozu, trzymając w zębach filc. Odtąd wszystkie rewizje osobiste zaczęto nazywać filcowaniem.

Ja ze szmat zakładowych uszyłem nauszniaki, füsslingi, onuce, szalik, rękawice, a także na plecach ociepliłem kamizelkę.

Największy problem miałem ze zdobyciem igły. Prosiłem majstrów niemieckich, ale twierdzili, że nie mają, bo im nie potrzebne. Obiecali, że zdobędą. Przedłużało się to, ja nie mogłem długo czekać i postanowiłem zrobić igłę.

W sytuacjach ekstremalnych człowiek wyzwala pomysły, gdzie normalnie na taki pomysł by nie wpadł. Zrobienie igły to nie taka prosta sprawa, jeżeli nie ma się odpowiednich do tego celu przyrządów. Igłę postanowiłem zrobić z blachy. Najpierw wyciąłem trójkątny pasek i wywierciłem otwór. W końcowej fazie oszlifowałem papierem ściernym i igła nadawała się do użytku. Może nie była tak dobra jak igła fabryczna, ale spełniała swoje zadanie. Używałem ją do czasu, kiedy jeden z majstrów podarował mi dwie igły fabryczne, a moją wziął na pamiątkę.

Pomimo że byłem względnie dobrze ocieplony i mój organizm był nieźle uodporniony na chłody, to przydarzył mi się wypadek odmrożenia policzków i rąk.

Pewnej nocy obudzono nas nagle i z łopatami zapędzono na lotnisko w celu odśnieżenia pasów startowych, gdyż w tym czasie lotnisko zakładowe pełniło już funkcję wojskowego.

Mróz był silny (ok. -20°C) i do tego wiatr. Na nieszczęście w pośpiechu zapomniałem rękawic. Pomimo że pracowaliśmy intensywnie (bardziej dla rozgrzania niż z zaangażowania), nastąpiło odmrożenie policzków i wierzchniej warstwy rąk. Silne odmrożenie wygląda potem jak oparzenie - tworzą się bąble podskórne, następnie pękają i długo goją się rany. Lepiej goją się ogrzewane. Dlatego śpiąc na boku, wkładaliśmy ręce między uda a śpiąc na wznak pod pachy.

3.3.5 Opieka medyczna. Choroby

Aby przetrwać w obozie koncentracyjnym podstawową sprawą było nie chorować. Wynikało to z dwóch powodów. Po pierwsze służba medyczna w obozie była słaba, ze względu na mizerne zaopatrzenie w leki, stąd trudno było liczyć na jakąś pomoc, chociaż wielu lekarzy-więźniów pracowało z poświęceniem.

Po drugie chory liczył się z tym, że go wykończą wcześniej, czy później. Jeżeli nie zatłuką go kijami, to sprowadzą Pflegra (pielęgniara), który da zastrzyk z fenolu, aby mieć sprawę z głowy. Więzień, który nie pracuje jest niepotrzebny.

Powodem powstania wszystkich chorób, było ogólne wyczerpanie organizmu. Stąd powstawały takie choroby jak: gruźlica, przeziębienia, opuchlizna twarzy i nóg (nie wiem czy słusznie nazywana flegmoną), zaniki mięśni, a także osłabienia serca i z tym związanego krążenia. Do tego

dochodziły różnego rodzaju infekcje zewnętrzne - długo nieogojące się rany, wrzody, a także infekcje wewnętrzne.

Jedną z poważniejszych epidemii były różnego rodzaju biegunki.

Taką epidemię przeżyliśmy w Aslau. Wykończyła sporo więźniów, w tym paru moich kolegów, którzy przedtem byli wyjątkowo silni i wysportowani. Po bieguncie byli szkieletami, ważącymi niewiele kilogramów.

W obozie zorganizowany był rewir (szpital obozowy) na 40 - 50 łóżek. Revircapo był lekarz dr Kopczyński z Gdańska, który do pomocy miał lekarza Polaka o nazwisku Pilecki i pielęgniarkę.

Na rewir przyjmowano poważnie chorych, którzy mieli temperaturę powyżej 39°C. Udzielano także pomocy doraźnej, były to przeważnie urazy po uderzeniach kijem przez kapo czy blokowych.

Brak było leków i środków opatrunkowych. Opatrunki wykonywano nie za pomocą bandażu lecz papieru toaletowego.

Nie mniej zespół lekarzy wykazywał dużo inicjatywy żeby pomóc.

Szczególnie starali się pomóc młodym chłopcom, którzy byli bardzo wycieńczeni.

Na uwagę zasługuje fakt, zorganizowania w obozie tzw. „gamelsztuby”, czyli pomieszczenia kwarantanny dla chorych (na bloku nr 2). Kiedy nastaly chłody, niedożywieni ludzie słabli, nie nadawali się do pracy, chodzili chwiejąc się na nogach. W „gamelsztubie” mogli leżeć, wypoczywać i kurować się. Na „gamelsztubę” byli kierowani przez lekarza. Zorganizowanie „gamelsztuby” było godnym pochwałą. Sądzę, że była to inicjatywa lekarzy i Lagerälteste.

W rewirze nie wykonywano operacji ani poważniejszych zabiegów, a jedynie drobne, jak cięcie ropni, krwiałków itp. Nie leczono uzębienia, choć czasami usuwano zęby. W pewnym okresie panował w obozie świerzbu, z którym trudno było walczyć z powodu trudności w utrzymaniu higieny i braku odpowiednich leków.

Swego czasu czytałem o świerzbie, że są to żyjątka, które drążą kanaliki w naskórku przez co wywołują ogromne swędzenie. Przeważnie atakują delikatne naskórki.

Dotknęło to i mnie. Cały brzuch pokryty był bąblami świerzbu. Szczególnie w nocy nie mogłem spać, ze względu na silne swędzenie, co zmuszało do drapania. Doszedłem do wniosku, że jeżeli smarem lotniczym wysmaruję naskórek, to pozatykam kanaliki, w których siedzi świerzbu, co spowoduje (być może) ich wyginięcie. I o dziwo. Po tygodniowym smarowaniu odczułem ulgę, a potem całkowite wyleczenie.

W pierwszym okresie pobytu w obozie zatrudniono mnie przy oczyszczaniu cegieł klinkierowych pochodzących z rozbiórki. Cegły należało oczyszczać z zaprawy wapiennej tłukąc młotkiem. Unosił się z tego pył, który poważnie podrażnił spojówkę oczu. Podrażnienie to było tak poważne, że niektórzy dosłownie tracili wzrok, a całe nasze komando miało zaczerwienione oczy.

Przybyła komisja z Gross-Rosen zaleciła zapuszczać jakieś krople, a dwóch (m.in. Józek Popławski) najbardziej niewidzących zabrała do Gross-Rosen. Nie wrócili.

Zapuszczane krople niewiele pomagały. Najbardziej pomogło nam, gdy skończyły się cegły, a my przeszliśmy do innej pracy.

3.3.6 Korespondencja

Listy do rodziny można było pisać raz w miesiącu. Dostawało się odpowiednie druczki, na których pisało się list. Więcej nie napisało się, tylko tyle ile zmieściło się na druczku.

Przeważnie na pisanie wyznaczało się którąś z niedziel. Pisał cały obóz (jeżeli miał kto do kogo). My z białostockiego nie mieliśmy, gdzie pisać, ani od kogo otrzymywać listów, gdyż tereny białostoczczyzny od drugiej połowy września 1944 r. były zajęte przez wojska radzieckie. Ci co mieszkali w zachodniej części Polski (wielkopolska, krakowskie) otrzymywali listy. a nawet paczki żywnościowe lub coś z ubrania, jak: swetry, rękawice, skarpety.

Każda korespondencja podlegała cenzurze. Dlatego pisząc list, wyłącznie w języku . niemieckim, trzeba było używać wyjątkowo dyplomatycznych słów przy opisywaniu swojej sytuacji. W przeciwnym wypadku list był niszczoney.

Ogromnym dla mnie zaskoczeniem, a nawet wzruszeniem do łez, było otrzymanie listu od siostry, która także była w obozie koncentracyjnym. Zastanawiałem się skąd ona wiedziała, gdzie jestem, gdyż wcześniej była wywieziona do obozu koncentracyjnego z więzienia białostockiego. Przebywała w obozie Buchenwald komando Lipsk.

Oczywiście, jak tylko nadarzyła się okazja (pisanie listów) odpisałem. Siostra mój list przechowała aż do powrotu do domu. Dopiero po powrocie wyjaśniło się skąd znalazła mój adres. Nie wiedziała na pewno, czy jestem w obozie, ale tak przypuszczała. Od starszych więźniarek знаła nazwy męskich obozów koncentracyjnych i pisała na wszelki wypadek. Prosiła nawet koleżanki, które nie pisały, żeby na swoje nazwisko pisały do mnie. W końcu trafiła do mnie w Gross-Rosen.

Ja listu od siostry nie zachowałem, gdyż zabrali mi w którymś z następnych obozów.

3.3.7 Ucieczki z obozu

Ucieczki z obozu zdarzały się, chociaż było ich niewiele (ile - nie pamiętam).

Pierwsza ucieczka z obozu była prawdopodobnie w sierpniu 1944 r. Jeden z więźniów podkopał się pod drutami i prześlizgnął się nie dotykając drutów wysokiego napięcia. Było to w nocy i widoczność prawdopodobnie była słaba, skoro wartownik z wieży tego nie zauważył, pomimo że ogrodzenie obozowe cały czas było oświetlone reflektorami z wież wartowniczych. Być może wartownik zdrzemnął się.

Kiedy następowała zmiana warty jeden z wartowników zauważył wykop. Zawiadomił komendanta. Ogłoszono alarm i cały obóz postawiono na nogi. Była to prawdopodobnie trzecia godzina nad ranem z soboty na niedzielę. Do obozu wszedł komendant i Rapportführer. Zaczęto przeliczać. Nie

zgadzało się. Liczono parokrotnie. Brak było jednego. Sytuacja napięta. Co dalej? W niektórych obozach za ucieczki wieszano zakładników. Komendant przechodząc przed szeregami patrzył więźniom w oczy z wściekłością. A może mnie weźmie? Każdy zastanawiał się czy przeżyje zaistniałą sytuację. Zbito tylko kijami tego który z nim spał. W końcu komendant zdecydował - cały dzień Strafsport dla całego obozu. Odetchnęliśmy z ulgą, nie zdając sobie sprawy, co to takiego Strafsport.

Biegaliśmy wokół obozu. Następnie skoki żabką. Potem czołganie się. Dobre to przez godzinę. Ale cały dzień? Bez jedzenia cyklicznie powtarzaliśmy ćwiczenia. Pod koniec dnia już dosłownie padaliśmy ze zmęczenia. Wachmani z wież wartowniczych wrzeszczeli, poganiając nas. Do tego kazali do połowy rozebrać się i biegiem nosić kłody drzewa. Pokaleczyliśmy ramiona. Kiedy około 20. kazali iść na prycze, dosłownie czołgaliśmy się, aby dojść. Każdy od razu usypiał ze zmęczenia.

Za parę dni znowu nastąpiła ucieczka dwóch więźniów. Jednego złapali i przyprowadzili do obozu. Znowu zrobiono pokazówkę. Wzięli dwie ławy (długości około 1,2m), przywiązali sznurki i powiesili na szyi zbiega. Jedna ława z tyłu druga wisiała z przodu. Najgorsza była ta ława z tyłu, gdyż sznurek pod ciężarem ławy, wznął się w krtani. Na ławach napisane było: HIP! HIP! HURRA! ICH BIN SCHON WIEDER DA! (hip! hip! hurra! Jestem znowu tutaj!)

Komendant zdecydował:

– Wykończyć kijami!

Paru kapo skoczyło i zaczęło bić. Byli to Maks, Erich i kapo Edek.

Dziwny to był chłopak, ten kapo Edek (nazwiska nie pamiętam). Pochodził z Warszawy. Znał niemiecki. Za wszelką cenę chciał się wyróżniać. Początkowo był kapo małych komand, które działały okresowo. Potem nie bardzo było dla niego miejsce i niewielkie miał uznanie u wyższych rangą. Dlatego chciał się wyróżniać i jeżeli były jakieś publiczne chłosty, to kapo Edek brał udział.

Jeżeli chodzi o Maksa i Ericha, to byli typowymi bandziorami.

Po dwóch godzinach pokaz skończył się, bo uciekinier leżał. Nie wiem czy przeżył. Zanieśli do bunkra, a stamtąd któregoś dnia wywieźli do Gross-Rosen.

Ucieczki zdarzały się jeszcze parę razy. Uciekali przeważnie więźniowie wyjątkowo zdesperowani. Każda ucieczka nie dawała większych szans powodzenia. Tereny wokół obozu, to tereny zamieszkałe przez Niemców, którzy wrogo byli nastawieni do więźniów, a szczególnie młodzież niemiecka z Hitlerjugend.

Jeżeli uciekinier ukrywał się w lesie, to musiał coś jeść. Nikt mu dobrowolnie nie dał jeść ani schronienia. Dlatego wcześniej czy później wpadał.

Także przed ucieczką powstrzymywał aspekt moralny. Uciekając brałem na swoje sumienie życie zakładników lub katorgę współwięźniów.

Pomimo tych obaw, ludzie decydowali się na ucieczki.

Za miesiąc znów dwóch uciekło. Jednego zastrzelili podczas łapanki, drugiego przywieźli do obozu. Sytuacja powtórzyła się jak za pierwszym razem. Jego tłukli kijami, a cały obóz przeszedł Strafsport i Strafarbeit.

Aby zabezpieczyć obóz przed uciezkami wykonano dodatkowo spiralne ogrodzenie z drutu kolczastego. Nie mniej ludzie zdesperowani wpadali na różne pomysły i szukali różnych okazji, aby uciec.

Grupa więźniów (prawdopodobnie Rosjan) wpadła na pomysł, aby wykonać podkop pod drutami kolczastymi. Wykorzystali rów przeciwlotniczy, jaki był na terenie obozu. Z rowu tego robili podkop w kierunku ogrodzenia. Uciezka się nie udała, gdyż zostało to wykryte przez władze obozowe. Schwytano jednego Polaka, który prawdopodobnie tam wszedł. Wyrok był jednoznaczny - zatłuc kijami. No i... niemieccy kapowie wykonali rozkaz.

Późną jesienią nastąpiła uciezka jednego więźnia z naszego komanda, podczas marszu do zakładu. Nie dochodząc do tunelu pod autostradą (około 50 m), rzucił się w bok na prawą stronę, przeskoczył rów i wskoczył w krzaki. W rowie zgubił tylko miskę fajansową, z którą każdy zobowiązany był chodzić do pracy. Zaskoczyło to wachmanów, którzy nie zdążyli nawet oddać strzału. Za to nam kazano paść na ziemię i nie ruszać się. Było mokro i zimno. Jeżeli ktoś poruszył się, to wachmani strzelali. Po jakimś czasie przyszedł komendant. Wyjaśnili mu sprawę. Po dwóch godzinach kazano wstać i maszerować do zakładu. Byliśmy niesamowicie przemarznięci.

Jedna uciezka zaniepokoiła wyjątkowo mnie, gdyż uciekł więzień, który spał ze mną. Był to Majewski (imienia nie pamiętam) z Białegostoku z zawodu fryzjer. Był chyba styczeń 1945 r. Zbliżał się front. Nie wiem jakie było jego morale w tym czasie, gdyż nie widziałem się z nim od tygodnia, ponieważ pracowaliśmy w zakładzie na różne zmiany. Nie wiem także czy mu udało się uciezka.

Uciekł z komanda (w zakładzie) podczas pracy, a nie z obozu. Jak tylko dowiedziałem się, że Majewski uciekł, szybko szukałem innej pryczy, aby nie spać w tej samej, bo konsekwencje wyciągane były także w stosunku do tych którzy spali z uciekinierem. Znalazłem pryczę na samym dole, koło nieczynnych drzwi, gdzie przez szpary niesamowicie wiało. Po przespanej nocy, koc mój był pokryty śniegiem. Pomimo tego cieszyłem się, że udało mi się zmienić pryczę, gdyż szukali gdzie i z kim spał Majewski. Koledzy mnie nie wydali.

Większych konsekwencji nie było, ponieważ zbliżał się front wschodni i wszyscy byli podekscytowani, co dalej.

To udzielało się nam „na dole”, jak i tym co „na górze”. My myśleliśmy tylko o wyzwoleniu, a oni bali się konsekwencji, za swoją bandycką działalność.

3.3.8 Wigilia obozowa 1944 r.

Wigilia jest uroczystością, która wyzwala radość, wzruszenie i smutek, w zależności od okoliczności w jakich się odbywa. Kiedy wszyscy w komplecie zasiądą za wigilijnym stołem, następuje

radość i wzruszenie, że rodzina mogła usiąść w komplecie, dzielić się opłatkiem i życzyć sobie wszystkiego najlepszego. Smutek i wzruszenia występują wtedy kiedy na stole stoją puste talerze i brak jest osób, które by przy nich usiadły. Jedynymi najbardziej wzruszającymi życzeniami jest powrót do rodzinnego domu.

W okresie wojny mało było rodzin, w których wszyscy usiedli przy wigilijnym stole, dlatego przeżywali tę drugą okoliczność, tzn. smutek, wzruszenie i poniekąd łzy.

W Aslau chcieliśmy wigilię zrobić uroczystą. Żyliśmy nadzieją, że to będzie ostatnia wigilia więzienna, że następną spędzimy w gronie rodziny.

Do tego zaangażowały się także władze obozowe.

Komendant pozwolił postawić choinkę na każdym bloku. Problem był czym ubrać. Ale na pomysły nie ma granic. Ci co pracowali w zakładzie, wycinali różne gwiazdki z folii aluminiowej, robili łańcuchy i inne świecidełka. Z papieru pakowego, który czasami był kolorowy, robiono różne zabawki choinkowe. Nawet, powstało pomiędzy blokami współzawodnictwo na najpiękniejszą choinkę. A choinki z dnia na dzień coraz bardziej dostrajano. Zdarzyło się nawet, że ktoś otrzymał paczkę, w której znajdowały się ciastka, powiesił parę gwiazdek z ciasta na choince. To przywoływało nastrój domowy. Nie zdarzyło się, żeby ktoś ukradł ciastko z choinki.

Wigilia w Aslau, jak na warunki obozowe, była przygotowana dobrze. Duża zasługa w tym naszych władz obozowych, bo sami nie moglibyśmy tak przygotować.

Praca w zakładzie w tym dniu została skrócona i wcześniej wróciliśmy do obozu.

W obozie na bloku szykowano stoły, stołki, ławy i co było możliwe do przygotowania uroczystej wigilii. Wieczorem wszyscy zebrali się w jadalni na wspólnej kolacji. Kolację przygotowano lepszą niż zawsze, a największym dla nas zaskoczeniem było, kiedy zaczęto rozdawać po kawałku opłatka. Opłatek w obozie? Skąd? Dosłownie braliśmy go ze łzami w oczach. Takie chwile wzruszają. Nie zapłakaliśmy nigdy przy biciu, katorzniczej pracy, bólu, natomiast takie wzruszenia nawet u twardzieli wywoływały łzy.

Po krótkim przemówieniu i życzeniach blokowego, przystąpiliśmy do wspólnego składania sobie życzeń.

Podstawowym naszym życzeniem było przetrwać obóz i wrócić do domu.

Potem wspólnie jedliśmy kolację. Opanowała nas jakaś radość, że to już koniec wojny i niedługo będziemy wolni. Życie napisało nam inny scenariusz. Nie wszyscy doczekali końca.

Po kolacji zaczęto śpiewać nawet kolędy w różnych językach: po polsku, po rosyjsku i po włosku, a nawet zaśpiewano po niemiecku Heilige Nacht (Cicha noc).

Następnie niektórzy poszli do Schlafstuby, żeby położyć się spać, inni stali w grupach gawędząc sobie, opowiadając jak przeżywali wigilie w innych obozach.

Nie było popędzania i wrzasków.

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia był dniem wolnym od pracy. Odwiedził obóz komendant wraz z dyrektorem zakładu. Chwalili ubrane choinki.

Przed południe zleciało nam na koleżeńskich rozmowach. Oczekiwaliśmy na uroczysty obiad. Miał być gulasz z ziemniakami. Opowiadaliśmy sobie, kto kiedy i gdzie jadł najlepszy gulasz.

W końcu nadeszła pora obiadowa i otrzymaliśmy wymarzony gulasz. Nie taki był jak w opowiadaniach. Mięsa było „ździubeńko”, sosu było więcej (sos był smaczny), natomiast ziemniaki były w mundurkach.

Łupiny ziemniaczane psuły smak gulaszu, ale i tak jak na warunki obozowe obiad był dobry.

Drugiego dnia poszliśmy do pracy w zakładzie, chociaż wielkiej roboty nie było, bo brak było części. Do tego majstrowie byli podenerwowani, bo było dużo awarii oblatywanych maszyn. Podejrzewano nas o sabotaż.

Następne dni poświęcone, były przygotowywaniem do produkcji, kompletowaniem części, aby w nowym roku, ruszyć z produkcją montażu samolotów.

Już z tego przygotowywania widzieliśmy, jakie poważne problemy mają z zaopatrzeniem. Wiadać było że produkcja będzie zanikać. To efekt zbliżania się końca wojny. To nas cieszyło.

3.3.9 Nowy Rok 1945

Okres przedświąteczny i noworoczny wywołał wśród Niemców majstrów chęć posiadania jakiejś oryginalnej drobnostki, odpowiedniej do miejsca i czasu. Takimi drobnostkami były fuchy wykonywane przez więźniów pracujących w zakładzie. Były to przeważnie papierośnice, zapalniczki, cygaretki, pierścionki i inne oryginalne świecidełka. Taka drobnostka nabierała wartości jeżeli na niej wygrawerowany był monogram i inne kwiatki dekoracyjne. W okresie przedświątecznym i noworocznym wszyscy chcieli podkreślić czas i miejsce, dlatego pragnęli, aby napisane było Weihnachten 1944 Aslau lub Neujahr - 1945 Aslau.

To pragnienie posiadania takiej drobnostki udzielało się niektórym wachmanom, a także naszym dostojnikom obozowym. Wobec tego, że jedynym grawerem w obozie byłem ja, to miałem bardzo dużo pracy, gdyż wykonywałem to jako fuchy.

Oczywiście zarobiłem przy tym sporo chleba, gdyż niemieccy majstrowie płacili mi chlebem.

Koledzy, którzy wykonywali te drobiazgi, także dawali do grawerowania, bo łatwiej i drożej mogli je sprzedać. Od nich nie brałem chleba. Przez te fuchy nie miałem chwili wolnego czasu. Dzięki tej umiejętności miałem szersze znajomości wśród niemieckich majstrów, a także naszych dostojników obozowych, byli oni moimi klientami. Fakt ten zapewniał mi większą swobodę i bezpieczeństwo.

Pewnego razu zdarzyła mi się nietypowa sytuacja. Po powrocie z zakładu do obozu, już kiedy byłem na bloku, wpada na blok I, Laufer (goniec) i krzyczy:

– Häftling 4411, natychmiast do Lagerälteste!

Zdębiałem. To był mój numer. Nie wiem, o co chodzi. Nigdy tak wysoko nie byłem wołany. Biegniemy. Tam jest Lagerälteste i komendant. Lagrowy trzyma w ręku puderniczkę i mówi:

– Masz tu wygrawerować monogram i coś dekoracyjnego. To jest dla komendanta

– Teraz czy jutro? - zapytałem

– Jutro - odpowiedział lagrowy

– Musi to podobać się mojej pani, jak nie to 25 kijów na tyłek - powiedział śmiejąc Komendant.

Śmiał się, ale nie można było być pewnym, czy żartuje, czy mówi poważnie. W obozie niczego nie można było być pewnym.

Wróciłem na blok i zacząłem rozmyślać, jak to zrobić. W obozie było paru artystów grafików i malarzy. Wziąłem trzech. Obiecałem po pajdce chleba za zaprojektowanie motywu do wygrawerowania. Każdy z nich zrobił parę propozycji, dlatego musiałem się długo zastanawiać, co wybrać. Ponieważ denerwowałem się, to parę razy przystępowałem do pracy. Ręce mi drżały, a w nich był mój los. Bałem się nie uszkodzić srebrnej puderniczki. W końcu wykonałem. Zniosłem lagrowemu. Jemu podobało się. Powiedział:

- Zaczekaj, jeżeli jest komendant, to mu zaniosę. Może trzeba będzie coś poprawić lub dodać.

Komendanta nie było. Wróciłem, ale nie mogłem się uspokoić. Wraz ze skończeniem roboty nie ustąpiło moje zdenerwowanie. Teraz moja praca musi trafić w gust komendanta i jego pani. A jak nie?

Na drugi dzień spotkałem lagrowego i spytałem się o ocenę przez komendanta mojej pracy. Komendantowi podobała się moja praca. Spadł mi kamień z serca.

Oczywiście od komendanta nic nie dostałem, ale projektantom trzy pajdki musiałem zapłacić.

Z perspektywy czasu sytuacja wyglądała zabawnie, ale wtedy kosztowała mnie sporo nerwów.

Wszyscy żyliśmy Nowym Rokiem i przekonaniem że niedługo nas wyzwolą. Nie wiedzieliśmy dokładnie gdzie w danej chwili znajdował się front, gdyż do obozu nie docierały żadne wiadomości. Ostatnią wiarygodną informację przynieśli przywiezieni do obozu warszawiacy z powstania. Stąd wiedzieliśmy, że front sowiecki był za Wisłą i na pewno niedługo zajmą Warszawę, ale jak dalej losy się potoczyły - nie wiedzieliśmy.

Na razie żyliśmy Nowym Rokiem i jasełkami, które miała być wystawiona przez więźniów.

W obozie byli zdolni artyści. Jeden z więźniów napisał scenariusz, inni wykonali dekorację. Na bloku nr 1 wykonano prowizoryczną scenę. Jak na warunki obozowe, wyglądało to ładnie. Wszystko wykonywano za zgodą władz obozowych.

Całą uroczystość zaszczycił swoją obecnością komendant obozu. Jasełka były wystawione w formie żartobliwej, gdzie proza przeplatana była piosenkami. Piosenki były polskie i niemieckie, a niektóre (dla większego urozmaicenia) niemiecko-polskie. Jedną z nich zapamiętałem:

– Mein Hut hat drei Ecke

- Drei Ecke hat mein Hut
- A żeby nie trzy rogi
- To nie byłby mój kask

Na zakończenie zaczęto śpiewać kolędy, co podchwycili wszyscy obecni. Chyba żadna inna piosenka tak nie wzrusza jak kolęda. „Lulajże Jezuniu” śpiewali ze łzami w oczach.

Po skończeniu jasełek komendant obozu pochwalił i widać, że był zadowolony.

Nowy Rok minął i wróciliśmy do codzienności.

Pierwsze dni 1945 r. były tak samo uciążliwe, pracowite i głodne, jak w starym roku.

W zakładzie początkowo było duże tempo pracy, ale od połowy miesiąca zaczęło ono spadać. Wynikało to z tego, że zaczęło brakować części do montażu samolotów.

Ten fakt był jednym ze zwiastunów zbliżającego się frontu. W obozie zaczął maleć rygor. Zastanawiano się co dalej?

Pewnego razu w zakładzie podczas rozmowy z jednym z majstrów, zapytał mnie czy jestem warszawiakiem. Odpowiedziałem, że nie. Popatrzył wokoło i dyskretnie powiedział:

- Warschau ist schon besetzt. Aber ruhe! (Warszawa jest już zajęta, ale bądź cicho!)

To mnie upewniło, że front się ruszył i niedługo może zbliży się do nas.

3.4 Ostatnie dni obozu

Na początku lutego zaczęto obóz przygotowywać do ewakuacji pieszej. Dużą inicjatywę wykazał komendant obozu rekrutując u miejscowych rolników kilka wozów konnych (oczywiście bez koni) i jedną przyczepę samochodową.

Ściągnięte do obozu wozy zaczęto przygotowywać do ciągnięcia. Z boku każdego mocowano liny z dużą pętlą, aby ciągnący mógł przełożyć je przez ramię. Na wozach tych miał być ewakuowany cały dobytek obozowy, prowiant, a także dobytek wachmanów i komendanta. Na jednym z wozów ustawiono przeciwlotniczy karabin maszynowy.

Na dobytek obozowy składały się: łopaty, kilofy, siekiery, piły, a także kotły garnki i wyposażenie kuchenne. Wszystko to było pakowane w worki, aby w każdej chwili można było załadować na wozy.

Zasługą komendanta było zdobycie wojskowej kuchni polowej, co dawało możliwość posiłków dla więźniów podczas ewakuacji.

Wszystkich więźniów przydzielano do odpowiednich wozów, aby w każdej chwili wiadomo było, kto do jakiego wozu musi iść.

Komanda zakładowe do ostatniej chwili chodziły do zakładu i nie brały udziału w przygotowaniach. Szczególnie komando „Endmontage”, które do ostatnich godzin znajdowało się na terenie zakładu.

Każdy więzień także przygotowywał się do ewakuacji. Zakład był źródłem zdobycia sznurków, puszek i temu podobnych rzeczy. Ze szmat szyto różne ocieplacze na korpus i nogi. a także torby, do której można by włożyć miskę i łyżkę. Sznurki służyły do zawieszenia torby przez ramię, jak również do wiązania zrolowanego koca.

Na początku lutego, w nocy słychać było odgłosy zbliżającego się frontu i widać było łuny pożarów.

A może całe to przygotowanie nie będzie potrzebne? Może wyzwolą? Zastanawiał się każdy z nas. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ewakuacja potrwa parę tygodni, co dla nas będzie wykończającą, a dla wachmanów możliwością uniknięcia wysłania na front. Gdyby nas odstawili do innego obozu, to ich prawdopodobnie skierowaliby na front, jak nie do pełnienia służb wartowniczych.

9 lutego 1945 r. rano zerwano nas ze snu i szybko poprowadzono komando do zakładu, w celu demontażu jeszcze pozostawionych urządzeń. Zobaczyliśmy, że są z nami tylko wachmani SS. Wachmanów z wojsk lotniczych wycofano.

Niedługo trwała praca, bo około południa ogłoszono alarm i biegiem wraz z wachmanami popędziliśmy do obozu. W obozie ogłoszono wcześniej alarm. Ładowano dobytek na wozy. Kazano rolować kocy i biec do przydzielonych wozów.

Staliśmy czekając na wymarsz. Byliśmy podenerwowani. Co z nami dalej? Widzieliśmy, że sytuacja stawała się krytyczna. Za drutami wachmani w pośpiechu ładowali swoje bagaże. Chyba front już blisko. A może wyzwolą?

Cała załoga obozu stała przy wozach. W obozie na rewirze pozostali obłożnie chorzy. Ilu? Nie pamiętam.

Wśród chorych pozostał mój kolega szkolny Aleksander Popławski, który wrócił do domu (w Łapach). Po zajęciu obozu, Rosjanie wzięli chorych do szpitala wojskowego. Potem szpital ewakuowali na teren Ukrainy. Stamtąd Olek wrócił do domu.

Przy wozach staliśmy ze dwie godziny. Widać, że sytuacja zmieniała się co chwilę. Słychać było krzyki wśród wachmanów i dowództwa. Bez przerwy dzwoniły telefony do komendanta.

Po jakimś czasie komendant wydał rozkaz powrotu na bloki. Można było położyć się spać ale tylko w ubraniach. Nie wolno było rozrolowywać koców.

Jeszcze wpadłem na rewir, aby zobaczyć czy zostają jacyś koledzy. Spotkałem tylko Olka. Więcej kolegów nie było. Olek miał wysoką temperaturę. Nie bardzo do niego docierało co się dzieje.

Wróciłem i położyłem się spać. Szybko usnąłem, bo byłem bardzo zmęczony.

Chyba około trzeciej nad ranem ogłoszono alarm. Wszyscy zrywali się w pośpiechu. Do obozu wpadli wachmani popędzając kolbami wszystkich.

Kiedy uformowała się kolumna, ruszono do przodu. Mijaliśmy bramę obozu w milczeniu. Słychać było wrzask komendanta:

– Schneller! schneller!

3.5 Ewakuacja obozu Aslau

Ponagleniem komendanta szybko przekroczyliśmy bramę, nieświadomi że rozpoczęliśmy parotygodniową pieszą ewakuację z obozu koncentracyjnego Aslau do obozu koncentracyjnego Dora (od 10.02.1945 do 19.03.1945 r.)

Po minięciu bramy skręciliśmy w kierunku autostrady. Na północy widać było łuny pożarów i słyszeć huk dział zbliżającego się frontu. Wjeżdżając na autostradę spoglądaliśmy w kierunku zakładu. Wysadzą czy nie wysadzą, zastanawialiśmy się.

W łuny pożarów spoglądaliśmy z nadzieją. Tam był front, który stwarzał możliwość wyzwolenia. Czyba się zbliża? Może zdążą? Szliśmy w nieznane. Co dalej? Gdzie trafimy?

Na twarzach wachmanów widać duże zaniepokojenie. Popędzali ale nie wrzeszczeli. Była cisza. Jakies głośniejsze zachowanie w szeregach uspakajali półgłosem: ruhe!

Wokoło było ciemno, ale nie stwarzało to trudności w ciągnięciu wozów, gdyż autostrada była szeroka i niezniszczona. Po jakimś czasie stwierdziliśmy, że łuny pożarów przesuwają się bardziej na południe przecinając nam drogę. A może zdążą? Może wyzwolą? Nurtowała nas myśl. Dla wachmanów sytuacja stawała się coraz bardziej krytyczna. Zastanawiało nas jaką decyzję podejmie komendant. W takich rozmyślaniach dobrnęliśmy do skrzyżowania z drogą na Bunzlau (Bolesławiec).

W pewnej odległości zatrzymano nas, gdyż drogą tą jechała jakaś kolumna samochodów (droga ta przechodziła górą nad autostradą). Komendant wysłał jednego z wachmanów na rozpoznanie. Po jakimś czasie wrócił stwierdzając, że były to samochody Wehrmachtu.

Ruszyliśmy do przodu, następnie skręciliśmy także na Bunzlau. Rano byliśmy w miasteczku. Widać było, że front zaskoczył mieszkańców okolicznych wsi, gdyż było sporo uciekinierów. Niektórzy lekko ubrani, okryci kocami stali przy drodze.

Nas nie zatrzymano, tylko gnano do przodu. Minąwszy miasteczko skręciliśmy w prawo. Wdzieliśmy, jak na wzgórzach okopują się niemieccy żołnierze i ustawiają karabiny maszynowe.

Marsz był cały czas forsowny. Ciągnięcie wozów stawało się już dużym wysiłkiem. Nie zatrzymywano nas na odpoczynek. Po kilkunastu kilometrach dalszego marszu, nie było widać łun pożarów i zamilkł odgłos dział. Oddalaliśmy się od frontu. Straciliśmy nadzieje na wyzwolenie. Nas ogarnęła apatia, a za to wachmani nabrali odwagi. Zaczęli wrzeszczeć jak poprzednio i stawali się bardziej brutalni.

Przechodziliśmy prawdopodobnie przez Neuburg (Nowogrodziec). Późnym wieczorem weszliśmy do jakiejś wsi, aby zatrzymać się na nocleg. Wozy ustawiono na podwórku a nas zapędzono do stodoły. Byliśmy u kresu fizycznej wytrzymałości, dlatego każdy kładł się (padał), gdzie było możliwe i zasypiał. Rano podczas apelu stwierdzono, że trzech brakuje. Uciekli w nocy. Jeśli dobrze

pamiętam był to kapo Wierzbicki, Antek „Wysoki” i Kucharz - Marynarz. Wiem, że wrócili szczęśliwie do domów

Komendant był wściekły z powodu ucieczki, ale żadnych konsekwencji nie wyciągnął. Prawdopodobnie jeszcze bał się zbliżającego się frontu.

Dostaliśmy po kawałku chleba i ruszyliśmy w dalszą drogę. Marsz nadal był intensywny, pomimo że wachmani też byli zmęczeni.

Posuwaliśmy się na zachód. Przed południem weszliśmy do miasta Görlitz (Zgorzelec) i przekroczyliśmy Nysę. Następnie skręciliśmy na południe i weszliśmy do obozu koncentracyjnego Görlitz. Było to 11.02.1945r.